

NAGRODA



SPECJALNA

GWIAZDA

AMBASADOR ZDROWIA

Niemożliwe nie istnieje

Rozmowa z **Martyną Wojciechowską**,
dziennikarką, podróżniczką, pisarką,
dyrektorką programową Travel Channel

Patrząc na pani aktywność, mnogość różnych pasji, można by się poważnie zastanowić, ile godzin ma pani doba. Jak znajduje pani czas i przede wszystkim siłę, żeby pomagać innym?

Wszyscy żyjemy w biegu, wręcz nakręcamy się wzajemnie, mówiąc: nie mam czasu. Ale to nieprawda. Po prostu trudno nam ustalić priorytety, a potem ich przestrzegać. Wierzę, że warto mieć czas na rzeczy właściwe i ważne. W moim przypadku priorytetem jest dzielenie się z innymi, pomaganie i inspirowanie ludzi do zmian. To nadaje sens mojemu życiu i mojej pracy. Gdy tego nie robiła – byłabym nieszczęśliwa. Na wiele innych

spraw tego czasu faktycznie mi brakuje. To kwestia wyboru.

Wierzy pani, że dobrem można zarażać? Uczy pani takiej postawy córkę?

W moim domu rodzinnym wiele mówiło się o pomocy, o potrzebie dzielenia się z innymi – wszyscy poświęcaliśmy czas na pomaganie. Odkąd pamiętam, zawsze ktoś u nas mieszkał. Ktoś, kto aktualnie był w potrzebie. Dla mnie to było oczywiste. I choć, przynajmniej, bywało też uciążliwe – inaczej sobie tego nie wyobrażałam. Marysia, wychowana w takim duchu, też lubi dzielić się z innymi i skutecznie przekonuje rówieśników do tego

typu działań. Na przykład napisała z koleżankami książkę, którą zgodziłam się wydać, a całkowity dochód ze sprzedaży Marysia przeznaczyła dla dzieci z Kliniki „Przyłądek Nadziei” we Wrocławiu.

Do budowy „Przyłądka Nadziei” w dużej mierze przyczyniły się pani determinacja i zaangażowanie. Wierzyła pani, że się uda, że dzięki wspólnemu wysiłkowi powstanie miejsce niezwykłe?

Użyła pani określenia „że się uda”, a ja z tym sformułowaniem się nie zgadzam. Rzeczy w życiu albo robimy, albo ich nie robimy. Tymczasem większość ludzi mówi, że coś „się udało” albo „się nie udało”, a to w magiczny sposób zwalania nas z odpowiedzialności za nasze działania. Jeśli chodzi o „Przyłądek Nadziei”, to wszystko zaczęło się od pani prof. Alicji Chybickiej, która wręczając mi na scenie nagrodę Kobieta Roku 2009 magazynu „Twój Styl”, powiedziała: „Proszę przyjechać do naszych dzieci”. W ten sposób dowiedziałam się o Klinice. Wówczas to nie był jeszcze „Przyłądek Nadziei”, ale Klinika Onkologii i Hematologii Dziecięcej przy ulicy Bujwida we Wrocławiu. Niedługo później zadzwoniła do mnie Agnieszka Aleksandrowicz, prezes Fundacji Na Ratunek »



MARTYNA WOJCIECHOWSKA

Dziennikarka, podróżniczka, autorka książek, dyrektor programowa Travel Channel, ambasadorka m.in. Kliniki „Przyłądek Nadziei” we Wrocławiu oraz „Świetlikowa” – Centrum Opieki Diennej i Hospicjum dla Dzieci w Tychach. Nagrodzona za pasję i zaangażowanie, z jakim od lat pomaga innym. Wspiera m.in. Fundację Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową, jest Honorowym Ambasadorem budowy Kliniki „Przyłądek Nadziei” – ośrodka leczenia dzieci chorych na raka. W tym roku dzięki jej działaniom otwarto dzienny ośrodek dla nieuleczalnie chorych dzieci oraz hospicjum stacjonarne w Tychach „Świetlikowo”. Martyna Wojciechowska została ambasadorką pierwszej tego typu dziennej placówki w Polsce.

fol. Tatiana Jachyra



» Dzieciom z Chorobą Nowotworową z Wrocławia i, zupełnie niezależnie, również zaprosiła mnie do Kliniki. Kiedy tam weszłam, zrozumiałam, że tu nie ma co dyskutować, tylko trzeba działać. Dzieci były leczone przez wspaniałych specjalistów, ale w dramatycznych warunkach – stary, poniemiecki szpital, tynk opadał z sufitu, okna nieszczelne, naprzeciwko wejścia cmentarz i zero infrastruktury do tego, żeby rodzice mogli przebywać na oddziałach z dziećmi, a przecież to jest szalenie ważne w leczeniu najmłodszych. Na szczęście wykazuję zadzi-

Jeśli chodzi o „Przyłądek Nadziei”, to wszystko zaczęło się od pani prof. Alicji Chybickiej

wiającą wiarę w to, że niemożliwe nie istnieje, a wtedy zebranie funduszy na budowę nowego szpitala wydawało się po prostu nierealne. Kiedy Agnieszka Aleksandrowicz wymieniła kwotę 70–80 mln zł, brzmiało to jak utopia! Nawet pomyślałam sobie: co za wariatka! To tak niemożliwe, że aż cudowne, żeby się tego podjąć! Powiedziałam wtedy głośno: „Zrobimy to!” A jak

coś obiecuję – słowa dotrzymuję. Ruszyła lawina dobrych i niezwykłych wydarzeń, aż zebraliśmy całą sumę. Ba! Zebraliśmy nawet więcej, bo ostatecznie stworzenie „Przyłądka Nadziei” kosztowało aż 110 mln zł! Klinika otrzymała dotację z Unii Europejskiej, ale żeby ją pozyskać, musieliśmy mieć świetnie przygotowany projekt. To już na wstępie pochłonęło znaczną kwotę,



foto: Paweł Jakubek

wyjątkowo trudne i że nadziei na szczęśliwy finał często brakowało...

Ja chyba wykazałam się huraoptymizmem, bo im bardziej było pod górkę, tym bardziej chciałam to zrobić. Oczywiście budowa „Przyłądka” to był proces rozłożony w czasie, pełen wzlotów i upadków. Zdarzało się, że ze złości i bezsilności można było tylko płakać. Dlatego wiele razy płakałam przy tym szczególnym projekcie. Czasem też zyczajnie, ze smutku, bo co można zrobić, kiedy w ciału kilkudniowego niemowlaka już jest pompowana chemia? Zapamiętałam ten moment szczególnie, bo wtedy wyszłam z sali zupełnie rozsypana. Ale szybko doszłam do wniosku, że nie po to jestem w szpitalu onkologicznym, żeby płakać. Żeby poczuć ulgę i nadać sens mojej obecności w tym przedsięwzięciu, po prostu wzięłam się do roboty. Dla mnie to najważniejsze dzieło życia. Oczywiście poza wychowywaniem mojej córki Marysi! (śmiech)

To dlatego na ramieniu ma pani wytatuowane współrzędne geograficzne „Przyłądka Nadziei”?

Na ramieniu mam wytatuowane współrzędne wszystkich najważniejszych miejsc w moim życiu – takich, które były dla mnie przełomowe. Między innymi miejsce narodzin Marysi, meta Rajdu Dakar, szczyt Mount Everestu. Kiedy chcieliśmy, żeby miasto Wrocław nas wsparło w budowie „Przyłądka”, udaliśmy się do prezydenta Wrocławia Marcina Dutkiewicza i ja tam zaczęłam się... rozbierać! Rozpięłam koszulę, pokazując wytatuowane na ramieniu koordynaty tych najważniejszych miejsc i powiedziałam, że wytatuuję sobie też współrzędne geograficzne „Przyłądka Nadziei”. Jeśli go stworzymy. I słowa dotrzymałam! Nie sądziłam jednak, że na uroczystym otwarciu kliniki zostanie to wspomniane, a tak się stało. Nie byłam na to kompletnie przygotowana, więc na scenie nieudolnie

zaczęłam się rozbierać, żeby te świeżo wytatuowane koordynaty „Przyłądka” pokazać... Proszę sobie wyobrazić konsternację wszystkich zebranych tam oficjeli, łącznie z hierarchami kościelnymi. Ale warto było.

We wrocławskiej Klinice jest pani nadal częstym gościem – czego można się nauczyć od dzieci, które choroba zaprowadziła do „Przyłądka”?

Podopieczni „Przyłądka Nadziei” to niezwykle dzieciaki z dramatycznymi doświadczeniami. Walka o własne życie to coś, co zmienia człowieka, nawet dorosłego, u dzieci ta zmiana jest jeszcze szybsza. Mnie to uczy ogromnej pokory i radzenia sobie z wyzwaniem. Kiedy słyszę, jak ci mali pacjenci rozmawiają z lekarzami, jak operują tymi wszystkimi skomplikowanymi terminami... Wtedy myślę sobie, że to straszne. Przecież zamiast tu leżeć, powinny się po prostu bawić i być dziećmi. Ale jednocześnie potrafią w sposób nieprawdopodobny podjąć świadomą walkę. Zdarza się jednak, że niektóre dzieci nie są pogodzone z chorobą, że nie mają już nawet chęci do życia. Niektóre nie mają siły, odmawiają zmierzenia się z tym wyzwaniem. I ja czasem w takich chwilach też się pojawiaam. Rozumiem je bardzo dobrze. Może o tyle lepiej, że ja też mam za sobą podobne doświadczenia, wiele razy leżałam w szpitalach i też nieraz miałam dość? Jestem więc też po to, żeby im opowiedzieć, że sama byłam w podobnej sytuacji. Wiem, co to znaczy marzyć o tym, żeby zamknąć oczy i żeby to wszystko się skończyło, bo wydaje ci się, że już nie dasz rady. Przekonuję dzieci, że jednak warto te oczy otworzyć i podjąć walkę. Myślę, że cenią to, »

i to z darowizn od osób prywatnych i firm. Potem Ministerstwo Zdrowia dołożyło jeszcze 15 mln zł. Jednak zawsze podkreślałam, że ogrom tej energii, tej koniecznej masy krytycznej, to były wpłaty zwykłych – niezwykłych ludzi przejętych losem naszych dzieci. I tak powstał najnowocześniejszy szpital w tej części Europy. Tak powinien wyglądać każdy szpital dziecięcy!

Kiedy rozmawialiśmy z prof. Alicją Chybicką, ubiegłoroczną laureatką konkursu, przyznała, że starania o budowę „Przyłądka” były

» że opowiadam o swojej historii, nie przekazuję im truizmów, których się gdzieś nauczyłam czy przeczytałam o nich w książkach. Może dlatego mi ufają i wierzą? Czasem odbieram telefony od rodziców, którzy proszą mnie, żebym spotkała się z ich chorymi dziećmi, bo oni nie znajdują już w sobie dość siły, by dawać im energię do walki. A przecież od nastawienia psychicznego małego pacjenta i rodziców zależy bardzo wiele. Dużo się też uczę od rodziców tych dzieci. Poznają ich w różnych fazach: szoku, zaprzeczenia, a nawet agresji. Ludzie zachowują się irracjonalnie, kiedy chodzi o zdrowie ich dzieci. Dla lekarzy to dodatkowe wyzwanie. W „Przylądku” pracują wspaniali specjaliści, działa też Klinika Mentalna, która wspiera całe rodziny i pomaga przejść przez piekło choroby.

Będąc gdzieś tam na górze po ciężkiej wspinaczce albo na krańcu świata po długiej drodze, myśli pani czasem o tych rodzicach? O tym, że dla nich każdy dzień jest jak wchodzenie na Mount Everest?

Ależ to, co ja zrobiłam, czyli zdobycie Korony Ziemi jest niczym w porównaniu z ich codziennością. Oni każdego dnia zdobywają Mount Everest! To dowód największego bohaterstwa. Za każdym razem jestem tym głęboko poruszona. To też bardzo skutecznie ustawia priorytety w moim życiu. Od dnia, kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w „Przylądku Nadziei”, nie ośmielałam się mówić, że mam jakiś problem. Ja nie mam problemów. Mam wyzwania albo po prostu sprawy do załatwienia.

Takim kolejnym wyzwaniem był ośrodek opieki dziennej nad dziećmi nieuleczalnie chorymi „Świetlikowo” w Tychach? Pokutuje mit hospicjum. Większość ludzi kojarzy to miejsce z mniej lub bardziej powolnym umieraniem. Pani, na przekór, podkreśla, że „Świetlikowo” to życie, że hospicjum to życie...

To bardzo trudny projekt, ale kiedy spotkałam się z ludźmi, którzy od początku byli w niego zaangażowani, poczułam niezwykłą energię. Wiedziałam, że jest w tym coś bardzo „światlikowego”, czyli niosącego światło. Nazwa tego miejsca i sama idea mnie urzekły. Postanowiłam tam pojechać. Zobaczyłam plac budowy, odrapany budynek i wtedy usłyszałam, że na już, na pierwszy etap potrzeba miliona złotych, a docelowo trzech milionów. Mieli wtedy raptem może 100 tysięcy... Dodali, że ten budynek w ciągu trzech miesięcy musi się stać pięknym hospicjum, w którym będą przyjmowani mali pacjenci. Presja czasu była ogromna, bo niezrealizowanie projektu w terminie groziło sankcjami. Pomyślałam kolejny raz, że to kompletne szaleństwo, ale uśmiechnęłam się w duchu, że taki już mój los. Najwyraźniej lubię budować i lubię przedsięwzięcia z pozoru beznauczajne. Zaczęliśmy więc budować „Świetlikowo”. Od maja 2017 r. ośrodek opieki dziennej przyjmuje już pacjentów. Niestety zostały długie do spłacenia... Ale kiedy prosisz różne firmy i instytucje o wsparcie, a oni słyszą: hospicjum, to najczęściej odwracają głowy. Myślą, że to miejsce dla umierających dzieci, tyle że w godnych warunkach. A to nie tak! Bardzo wiele dzieci cierpiących na choroby przewlekłe wymaga wieloletniej, wysoko wykwalifikowanej opieki specjalistycznej, ale one żyją, rozwijają się, odnoszą swoje małe i większe sukcesy. Dla mnie budowanie takiego miejsca i realizacja projektu, w który mało osób chce się angażować, jest dodatkowym wyzwaniem. W Polsce opieka hospicyjna dla dzieci to dramat. Dofinansowanie państwa nie pokrywa nawet połowy realnego zapotrzebowania. Nie istnieje też system wsparcia dla rodziców opiekujących się dziećmi w domu, np. poza fundacjami nie ma możliwości wypożyczenia sprzętu specjalistycznego, takiego jak ssaki, koncentratory tlenu itp. A przecież to, czy



potrafimy się zająć ludźmi przewlekle chorymi, to realny sprawdzian dojrzałości naszego społeczeństwa. A więc „Świetlikowo” działa, zbieramy środki na pokrycie długów i na kolejny etap budowy, więc skorzystam z okazji i zaapeluję o wsparcie.

Nie boi się pani, że teraz do zadań niemożliwych będą wołać Martynę Wojciechowską? Bo ona to potrafi, ona to robi...

Odbieram wiele telefonów, ale niestety nie mogę się zaangażować we wszystkie działania. „Przylądek Nadziei”, „Świetlikowo” to



foto: Dorota Kopierska Photography, copyright: Fundacja Śląskie Hospicjum dla Dzieci Świerklkowo, Tychy 2017



profilaktyka przed egzotycznymi wyjazdami. Spędziłam trochę czasu w szpitalach zakaźnych, a teraz wiem, jak się szczepić, jak uniknąć zachorowań, bo nawet na krańce świata można podróżować bezpiecznie. Chciałabym się więc przyczynić do wzrostu świadomości Polaków w tym zakresie, bo coraz częściej nasi rodacy wyjeżdżają na inne kontynenty i zależy mi, żeby robili to bezpiecznie. A prywatnie? Mogę się podzielić radosną nowiną, że znowu zostałam mamą, choć na odległość! Adoptowałam kolejną dziewczynkę z Tanzanii, która jest chora na albinizm. Wychodzę z założenia, że czasem ratując jedno życie, ratujemy cały świat. Mam naprawdę wiele zapału do realizacji kolejnych projektów z cyklu niemożliwych!

Co dla pani znaczy tytuł Gwiazda – Ambasador Zdrowia?

Kiedy się o niej dowiedziałam, to w duchu się uśmiechnęłam i pomyślałam sobie, że przykładem zdrowia to jestem raczej średnim. Sama często chorowałam, wiele razy informacje o moim stanie zdrowia przeciekały przecież do mediów. Kiedy zrozumiałam sens i wartość tego wyjątkowego wyróżnienia, poczułam się bardzo szczęśliwa. Choć przecież nigdy nie pomagałam innym dla nagród. Może dlatego też wybieram takie miejsca jak Wrocław czy Tychy, daleko od stolicy, gdzie trzeba się realnie zaangażować, a nie tylko deklarować pomoc w świetle reflektorów? Dla mnie to zobowiązanie i szansa, że jeszcze więcej ludzi usłyszy o tych działaniach i postanowi się przyłączyć. Chciałabym żeby to zainspirowało innych do działania, bo przecież każdy z nas, niezależnie od tego, czym w życiu się zajmuje, może pomagać. To ma wielkie znaczenie. ■

Rozmawiała Ewa Gosiewska

W Polsce opieka hospicyjna dla dzieci to dramat. Dofinansowanie państwa nie pokrywa nawet połowy realnego zapotrzebowania.

rzeczywiście zadania z serii niemożliwych, bo wymagają dużych środków finansowych i dotyczą hospitalizacji. Wiem jednak z własnego doświadczenia, że równie ważna jest profilaktyka i budowanie świadomości na temat diagnostyki chorób. Dlatego od lat wspieram kampanię profilaktyki

raka piersi, bo jest to najczęstszy w Polsce kobiecy nowotwór złośliwy. Zostałam też ambasadorem kampanii „Medycyna na Krańcach Świata”, która jest skierowana do osób podróżujących za granicę. Na własnej skórze przekonałam się, jak istotną rolę odgrywa wiedza o rejonie, do którego podróżujemy, oraz